

Szesnastego września 1939 roku, ewakuowana transportem "Rodzina Wojskowa" - to nazwa założonego przez J. Piłsudskiego Stowarzyszenia rodzin wojskowych, - znalazłam się w Nadwórnej k/ Stanisławowa, aby połączyć się i zabrać tamtejsze rodziny. W tym dniu rozszalała tam ogromna burza z piorunami. Mimo to urzędujący jeszcze płk. Tworzydło (zapamiętałam nazwisko) polecił wieczorem wyruszyć ku granicy Rumuńskiej.

Dostarczył nam jeszcze dodatkowe podwozy, i zwiększonym transportem ruszyliśmy z dziećmi, pod osłoną nocy, bo w dzień już i tam padały niemieckie bomb. Deszcz przestał padać, ale przed nami ~~zami~~ słychać było grzmoty i ~~szkwa~~ widać silne błyskawice. Sądziłyśmy, że jedziemy pod drugą burzę.

W tym transport zatrzymała jakaś wojskowa grupa, Zrazu myślałyśmy, że to jakiś patrol, gdy zbliżyliśmy się ujrzaliśmy oficerów i żołnierzy rozpaczliwie sponiewieranych bojem i beznadziejnością, którzy zawracając nasz transport wołali: ..(Cyt. dosł.).. "Jedziecie przecież pod front, to nie burza, to armaty rosyjskie. Tam jeszcze zaskoczona resztką naszych walczy i broni się na Przyczółku Tarnopolskim bo na Polskę uderzyła armia ZSSR".

Trudna do opisanie jest ta jakże dramatyczna noc odwrotu. Kilku oficerów, na oczach wszystkich strzelali sobie w głowę samobójczo. Ięk i jęk ogarniał wszystkich, głośne, żkające modlitwy kobiet i dzieci, żon i matek, krzątanie woźniców mających ze sobą młodsze rodzeństwo, desperackie wypowiedzi cofających się żołnierzy... "z ostatnią kulą dla siebie" - mówili, jednoczyła wiara i ufność w Miłosierdzie Boga, w tej całkowitej dezorientacji i doświadczeniu.

Był już koniec ewakuacji, powrót żywych i umarłych, których dobrzy ekscypicy podwieźli na cmentarz mijanej cerkwi. Tylko łaska Boża pozwoliła nam dojechać do wojewódzkiego Stanisławowa.

Tu zastaliśmy już władzę "RLW-KU, =rewolucyjny komitet. On tylko decydował o dalszym poruszaniu się. Jednym wydawał przepustki na dalszą jazdę, inny rozkwaterowywał jako: "bizeńców" tj. Uchodźców.

Tutaj skończyłam swoją misję opiekunki ewakuacyjnej. Pozostawiono mnie z 7-dmioletnim synem jako "bizeńca" z zakwaterowaniem (jak i większość) w pałacu Biskupa grecko-katolickiego.

Wiedząc, że w Stanisławowie proboszczem w jednym z kościołów był przyjaciel moich rodziców, i mój w pewnym okresie katecheta ks. prałat Kazimierz Bilczewski (bratanek Arcybiskupa lwowskiego J. Bilczewskiego) udałam się z dzieckiem do Niego. Zamierzałam odszukać we Lwowie dom rodziców. Ksiądz wolał, żebym się raczej dostawała do Tarnowa pod wskazywany mi adres mówiąc... "jedź tam i powiedz, że my tu czekamy na śmierć".

W międzyczasie do Stanisławowa w poszukiwaniu mnie, przyjechała moja matka z młodszą siostrą. Był to już listopad 1939 roku. Z nimi pojechałam

do Lwowa. We Lwowie panowała już wszechwładnie władza Radziecka.

NKWD (Narodniy komitet Wnutrniech Biel=Narodowy Kom. Wewnetrnych Sprzetasowgwał, klasyfikował i selekcjonował całe Społeczeństwo, odbierali Obywatelstwo, wydawali ruskie paszporty.

Dwa wielkie więzienia Brygidki i Łackiego szczelnie wypełniano ludmi bez wyroków i sądu.

Innych wysiedlano z miasta do kresowej, przygranicznej miejscowości Kozy nadając im nieznany "Artykuł 211", który zabraniał poruszania się stamtąd.

Jeszcze innych co pewien czas wywozili, podstępnie nocą wyprowadzanych z domów, bez bagażu i często źle odzianych, towarowymi pociągami do ZSSR-u głównie na Sybir.

Pierwszą taką "łapankę" i wywóz rozpoczął się 30 grudnia 1939 r. Była wówczas ostra zima. Stłoczeni w nieogrzewanych wagonach ludzie dusili się i zamarzali szczególnie dzieci umierały.

Na wołania i krzyki ludzi do wagonów wskakiwali enkawudowcy (NKWD) i bez zatrzymania pociągu, zabierali trupy wyrzucając je z wagonu w pole.

Na Zesłaniu, kiedy zdarzyło się spotkać nowo-przybyłych rodaków, dowiedzieliśmy się, że jadących w następnych po nas transportach mężczyzn wysadzano w polu, kazano im zbierać na stos trupy, które potem sami enkawudowcy polewali benzyną i spalali. Mężczyźni ci dziwili się skąd i co to są za zamarłe ciała.

Przecież pozostają jeszcze przy życiu - dzięki Woli Bożej ludzie z tego czasu. Z wdzięcznością wspomnę łascę Boga i Najśw. Matce, że mogłam wraz z dzieckiem powrócić do rodziny, znów do Lwowa, wiosną 1941 roku.

Nie zastałam już wielu z rodziny.

A kiedy w czerwcu tegoż roku, (mówiło się tam "wyzwolili nas") wybuchła wojna niemiecko-ruska, - Sowieci opuścili miasto, a jeszcze przed wejściem Niemców - naród pospieszył pod więzienia, aby spotkać swoich, rozwarłszy bramy ujrzeli i usłyszeli grozę budzącą szczątki człowiecze, pomasakrowanych ludzi a w niektórych celach-bunkrach już rozkładające się zwłoki więzionych.

To tylko fragmentaryczna historia żywej p r a w d y .